

Waldemar Cichoń

CUKIERKU, TY ŁOBUZIE!





Marcelowi i Maćkowi



Cukierku, ty łobuzie!

Waldemar Cichoń

Cukierku, ty łobuzie!



Ilustrował
Dariusz Wanat

Redakcja i korekta

Grażyna Jenczelewska-Stolarczyk
Ewa Mościcka

Ilustracje

Dariusz Wanat

Skład i łamanie

Grzegorz Działo

Tekst

© Waldemar Cichoń

© Publisher**Wydawnictwo Dreams**

Lidia Miś-Nowak

35-310 Rzeszów

ul. Unii Lubelskiej 6A

Rzeszów 2017

Wydanie IX

ISBN 978-83-932877-8-9

Przeprowadzka

– Kotki są tutaj! – Zza drzwi dobiegł głos pani Lusi. Leniwie otworzyłem jedno oko i przekręciłem się na drugi bok. Naprawdę bardzo trudno jest wygodnie ułożyć się w koszyku, kiedy ogon brata wchodzi ci do ucha, a wąsy siostry łaskoczą w nos.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich pani Lusia. To nasza opiekunka, która nas karmi, głaszcze, przytula i jest niezrównana w rzucaniu piłeczki. Podbiegłem do niej natychmiast, bo pomyślałem, że to pora na drugie śniadanie. Byłem już prawie przy drzwiach, kiedy nagle coś kazało mi się zatrzymać – obok pani Lusi stało troje obcych ludzi.

– To są właśnie kocięta mojej kotki Landrynki. – Pani Lusia się uśmiechnęła, wskazując na nasz koszyk. – Ta piękna czarno-biała dama nazywa się Chałka,

rudzielec obok niej to Precelek, a brązowa noga, wystająca spod kocyka, należy do Karmelka. A ten, który się nam przygląda, ciekawski pręgowany łobuziak z plamką na nosie, to Cukierek.

Podbiegłem do przybyszy. Byłem ciekaw, kim są i po co przyszli. Wyciągnąłem łapę i lekko pacnąłem nią w nogę najmniejszego z obcych, po czym szybko odskoczyłem, żeby zająć lepszą pozycję do ataku.



Z koszyka wygramoliło się już moje zaciekawione rodzeństwo.

– Cukierek, łobuzie! – powiedziała Pani Lusia. – Nie strasz naszych gości!

– Najbardziej podoba mi się ten pręgowany – powiedział z uśmiechem na ustach najmniejszy z obcych, próbując mnie pogłaskać.

Prychnąłem, odskoczyłem od niego i z dumnie zadartym ogonem podreptałem z powrotem do koszyka. No, kto to widział, żeby tak od razu się spoufalać?! I czy to przystoi o poważnym kocie mówić: „Ten pręgowany”?!

– Cukierek? – ze zdziwieniem upewniła się pani Lusia. – Szczerze mówiąc, sądziłam, że nie uda mi się znaleźć dla niego domu. Jest kochany, ale to największy rozrabiaka w tym towarzystwie. Bez przerwy coś psoci, włóczy się nie wiadomo gdzie... Mielibyście państwo z nim mnóstwo kłopotów.

„O, przepraszam bardzo – pomyślałem z oburzeniem. – Wczoraj ten wazon zrzuciliśmy ze stołu razem z Preclem. Serwetka z komody była bardzo słaba i sama się podarła. A rysy od moich pazurów na krześle kuchennym są przecież prawie niewidoczne”.

– Chciałbym jednak tego Cukierka – powtórzył z uporem najmniejszy z obcych. – Tato, proszę... Największy obcy popatrzył na najmniejszego i podrapał się w głowę.

– Marcelku, skoro to taki łobuziak... – powiedział niepewnie. – Może rzeczywiście lepiej zdecydować się na spokojniejszego kotka?

– Ale ja nie chcę innego – upierał się Marcel i popatrzył na stojącą obok kobietę. – Chcę właśnie tego. Mamo, proszę...

– Kochanie, skoro Cukierek wpadł Marcelowi w oko, to chyba nie mamy wyjścia. – Obca kobieta się uśmiechnęła. – A na dodatek jest taki śliczny...

– No cóż, skoro się państwo zdecydowali, to pozostaje nam omówienie szczegółów – powiedziała niepewnie pani Lusja. – Zapraszam do kuchni, napijemy się herbaty.

I wyszli z pokoju.

– O czym oni rozmawiali? – zapytałem mamę przeżony. – Kim są? I dokąd chcą mnie zabrać?

Mama spojrzała na mnie mądrymi oczami, w których pojawił się smutek.

– To będą twoi nowi właściciele – odparła. – Przeprowadzisz się do nowego domu, synku. Jesteś już wystarczająco duży. W życiu każdego kota przychodzi taki moment, kiedy musi rozstać się ze swoją rodziną i usamodzielnąć. Niebawem również twoja siostra i bracia pójdą w świat do nowych domów.

– Ale ja nie chcę! – miauknąłem lękliwie.

– Wszystko dobrze się ułoży, zobaczysz – powiedziała mama, liżąc moje futerko. – A teraz pożegnaj się

z rodzeństwem i ze mną, bo zaraz twoi nowi opiekunowie wrócą i zabiorą cię do siebie.

Po chwili w pokoju pojawili się Marcel z rodzicami oraz pani Lusja. Zostałem umieszczony w specjalnej klatce do przenoszenia kotów, którą przykryto kocem. Ktoś ją podniósł i wyszliśmy z mieszkania. Usłyszałem odgłos zamykanych drzwi. W taki oto sposób pożegnałem swój rodzinny dom.

Wielka ucieczka

– Na razie nie będziemy wypuszczać Cukierka na dwór. Musi najpierw przyzwyczać się do nowego miejsca. Nim zacznie wychodzić, powinien być zaszczerpiony przeciwko wściekliwości. Trzeba też kupić mu specjalną obróżkę – zawyrokował o ograniczeniu moich swobód tata Marcela, widząc, że kręcę się po przedpokoju i mocno drapię pazurami drzwi wejściowe. – I bardzo proszę, moi mili, żebyście uważali przy otwieraniu drzwi, bo kotek może się wymknąć i tyle będziemy go widzieli. Nie chciałbym, żeby stała mu się jakaś krzywda albo zabłądził i nie mógł trafić do domu.

Pokażcie mi kota, który przyjąłby taką zapowiedź ze spokojem i zgodził się na ograniczenie własnych praw do wałęsania się gdzie popadnie!



Od czasu do czasu czatowałem w pobliżu wejścia, mając nadzieję, że nadarzy się sprzyjająca okazja do czmychnięcia na dwór. Świat zewnętrzny oglądałem dotąd jedynie z parapetu okna i tylko dwukrotnie byłem poza domem – raz przed garażem, a drugi w ogródku – zresztą bardzo krótko i na dodatek w idiotycznej obrożi, w której wyglądałem jak – wybaczenie porównanie – jakiś pies!

Okazja nadarzyła się w sobotę. Szukałem akurat pod schodami swojej gumowej myszki, kiedy niespodziewanie drzwi do naszego mieszkania otworzyły się i stanął w nich tata Marcela. W rękach trzymał papierowe torby z zakupami i usiłował zamknąć drzwi nogą, co nie było wcale łatwe, gdyż przy otwieraniu część zakupów wypadła mu z rąk. Błyskawicznie oceniłem sytuację i zdecydowałem: spróbuję czmychnąć! Tata Marcela – widząc, że szykuję się do skoku – w panice usiłował zastawić mi drogę nogą (w rękach wciąż trzymał część zakupów).



Zrobiłem dwa zwody w prawo, jeden w lewo, zanurkowałem dołem i smyrnąłem pomiędzy jego nogami.

Byłem w ogródku! Wiałem prosto przed siebie, nie oglądając się. Dla pewności kluczyłem zygzakiem, a tata Marcela gonił mnie bardzo wolno, cały czas trzymając w rękach torby z zakupami. W takim tempie nie dogoniłby mnie nigdy! „Jeszcze tylko kilka metrów do płotu i znajdę się w kocim raju...” – pomyślałem.

Byłem już blisko celu, kiedy nagle – jak spod ziemi – wyrósł przede mną Marcel. Psiakość, zapomniałem, że o tej porze wracał z angielskiego! Zahamowałem, udając, że się zatrzymuję, a kiedy chłopiec schylił się, żeby mnie podnieść, dałem susa w bok. Cha, cha, cha! Nie ze mną takie numery! Przedarłem się przez żywopłot i przez ogródek sąsiada pognałem dalej przed siebie.

Zapomniałem, że sąsiad ma jazgotliwego yorkshire terriera. Toffi – bo tak miał chyba na imię – rzucił się na mnie z głośnym szczekaniem.

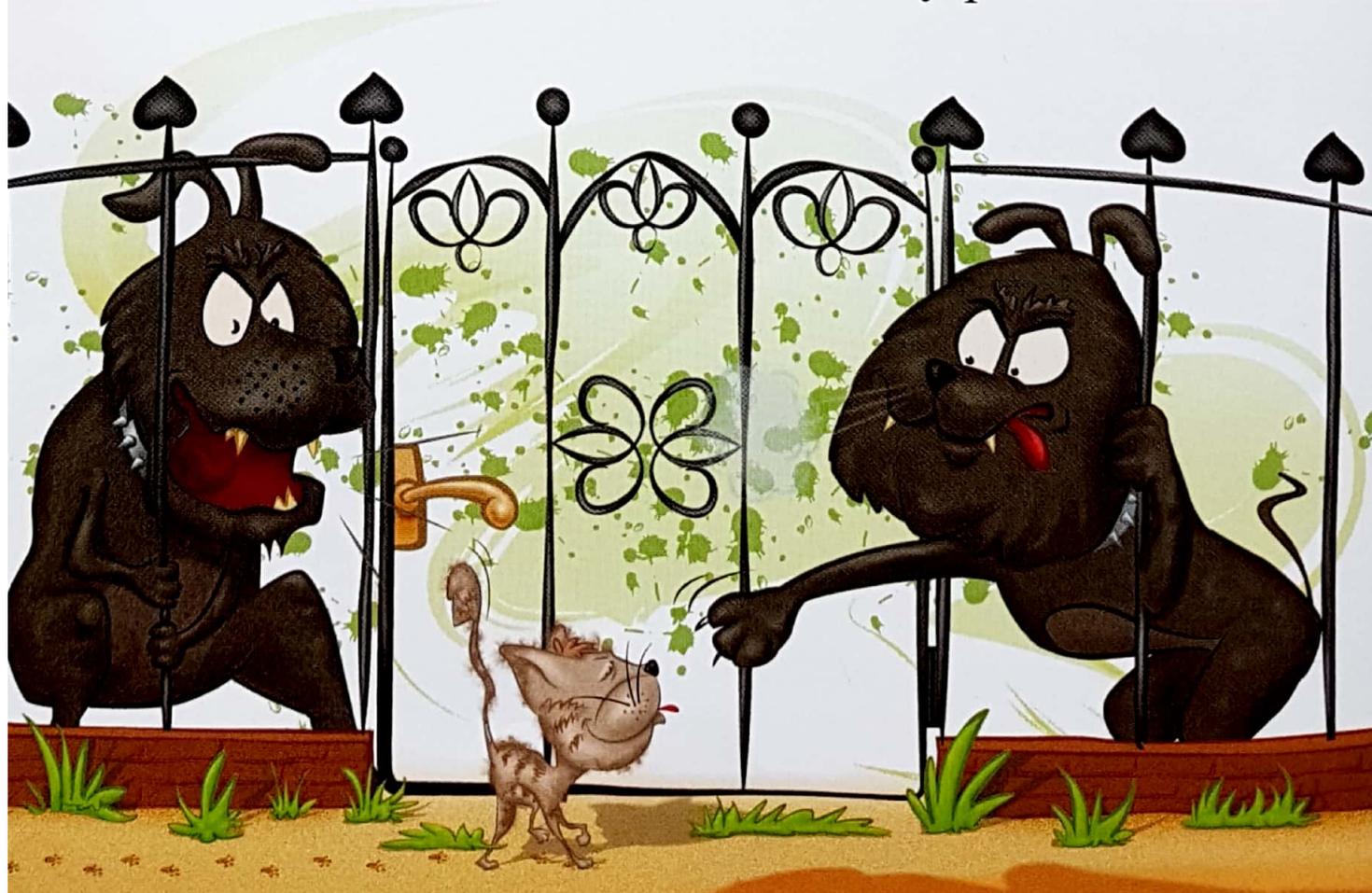
W innych okolicznościach dostałby łapą po nosie i uciekłby z podkulonym ogonem, ale tym razem – wiedząc, że krok za mną podąża pościg – obrzuciłem go tylko pogardliwym spojrzeniem i wskoczyłem na płot. Przebiegłem przez kolejny ogródek i jeszcze przez następny. Tam poczułem, że jestem już bezpieczny.

Z ciekawością przyglądałem się światu. Okazał się o wiele szerszy niż widziany z okiennego parapetu. Był pełen nieznanymi widoków, smaków i zapachów...

Przez kilka godzin wałęsałem się po okolicy, wtykając nos we wszystkie okoliczne dziury, zakamarki, chaszczki i kryjówki. Spróbowałem, jak smakuje woda z kałuży, pobawiłem się trochę fruującą na wietrze plastikową reklamówką. Następnie podrażniłem dwa rottweilery, które głośno ujadły za ogrodzeniem jednego z domów – przeszedłem obok furtki z wyprężonym ogonem, jawnie lekceważąc psy i okazując, że w ogóle się ich nie boję. Na jednym z podwórek chciałem złapać wróbla. Harcowało ich tam całe stado, ale były dla mnie za szybkie. Tylko się śmiały ze mnie, odfruwając na drzewa.

Było super.

Pewnie zwiedzałbym okolicę jeszcze dłużej, gdyby nie to, że poczułem się już porządnie zmęczony i strasznie głodny. Na dodatek zaczął padać deszcz.



Pomyślałem o mojej misce, koszyku ustawionym koło kominka i postanowiłem zakończyć wycieczkę.

Wróciłem do domu tą samą drogą, którą przebyłem rano (mówiłem wam już, że koty mają fenomenalną, wręcz fotograficzną pamięć?). Stałem pod drzwiami i zamiauczałem.

Drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich zapłakana mama Marcela, a za nią zaniepokojony Marcel.

– Och, Cukierku, gdzieś ty się podziewał?! – zawołała mama, biorąc mnie na ręce i ściskając tak mocno, że omal oczy nie wyszły mi z orbit. – Gdzieś ty się włóczył? Myśleliśmy, że jakieś niedobre psisko zrobiło ci krzywdę, albo dzieci cię złapały i męczą. Nigdy więcej nam tego nie rób!

A potem zaniósła mnie prosto do miski. Nie wiem czemu, ale dostałem podwójną porcję dobrej karmy i chrupki na deser!

Spałem już głębokim snem, kiedy nagle zostałem wyrwany ze snu przez jakiś hałas. To wrócił przemoczony i zmarznięty tata Marcela, który podobno przez trzy godziny szukał mnie po całej okolicy. Spojrzał w kącik gdzie spałem, ale nie powiedział ani słowa. Widocznie miał poczucie winy, że tak łatwo mnie wypuścił.

Nic się przecież nie stało, a jutro też spróbuję się wymknąć. Oczywiście wrócę, bo wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej!

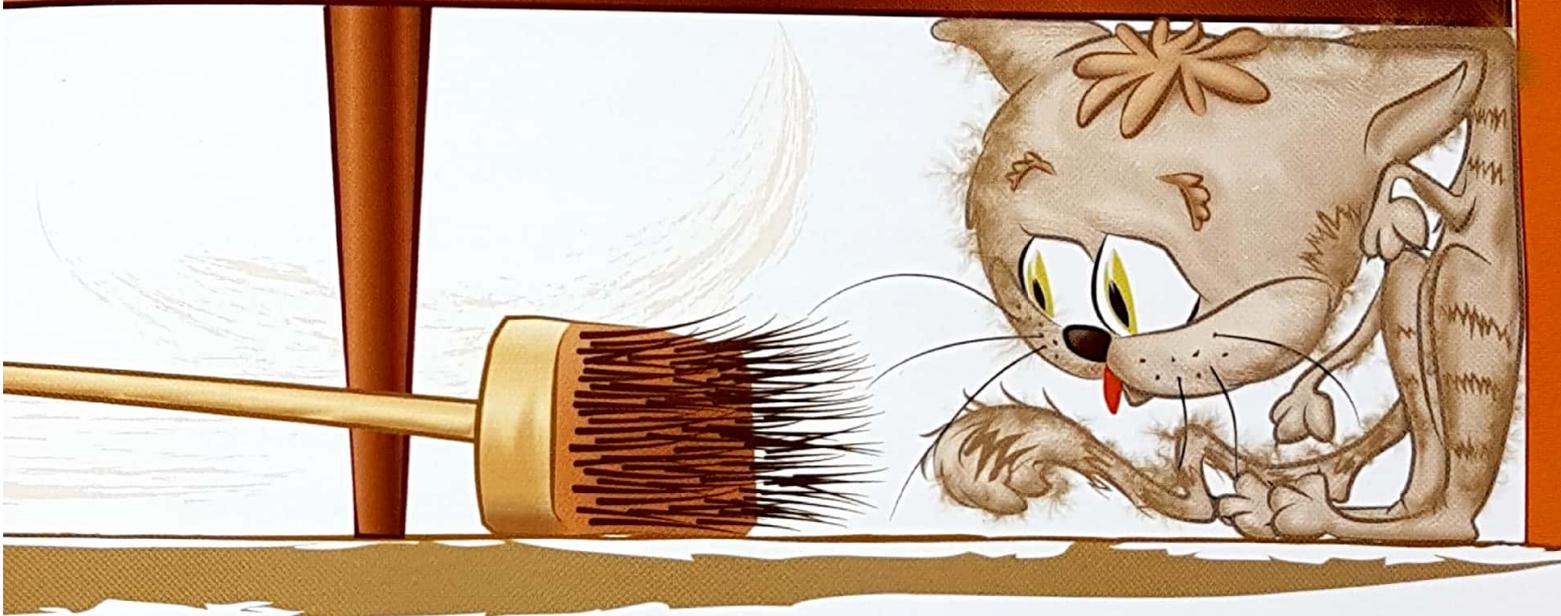


Jak poradzić sobie ze szczotką

– Dziś jedziemy do weterynarza – oznajmił Marcel, zganiając mnie z kanapy, i to akurat wtedy, kiedy przeciągałem się leniwie, rozmyślając o tym, że fajnie byłoby zjeść świeżego tuńczyka na kolację zamiast codziennej porcji mokrej karmy.

– Przytniemy ci pazury, zaszczepimy i na wszelki wypadek odrobaczymy – dodał tata Marcela i zaczęli zbierać się do wyjścia.

Pomysł nie bardzo mi się spodobał, zwłaszcza ta część z robakami. Mama opowiadała mi o weterynarzu. Twierdziła, że to dobry człowiek, że kocha zwierzęta i pomaga im, choć czasami, aby je wyleczyć, musi sprawić im trochę bólu. A ja przecież wcale nie byłem chory, więc czmychnąłem pod komodę i nie dałem się stamtąd wyciągnąć ani prośbą, ani groźbą.



Czegóż to nie próbowano, aby mnie stamtąd wywa-
bić!

Najpierw słodko wołano „kici-kici”, wabiono mi-
ską z suchą karmą i pysznymi kabanosami, potem na
środek pokoju poturlano piłeczkę, żeby zachęcić mnie
do gonienia, i wtedy mnie capnąć. „Nie ma głupich” –
pomyślałem i siedziałem jak – wybaczenie to określenie
– mysz pod miotłą. Kiedy nic nie pomogło, próbowano
sięgnąć pod komodę – ale ręka Marcela była za krót-
ka, a jego taty za gruba. Ja zaś mocno przytuliłem się
do tylnej ściany. W końcu ktoś wpadł na pomysł, żeby
delikatnie wypchnąć mnie szczotką do zamiatania pod-
łogi. Ten sposób, niestety, okazał się skuteczny. Prych-
nąłem obrażony, bo nie jestem jakimś papierkiem czy
zbitą bombką choinkową, żeby mnie zamiatać, tylko
poważnym kotem. Tata Marcela złapał mnie w końcu

za grzbiet i wsadził do specjalnej przenośnej klatki. W zamieszaniu nie domknął jednak drzwiczek... i po kilku sekundach – znów siedziałem pod komodą!

Nie na wiele się to jednak zdało, bo znowu zostałem wypchnięty za pomocą szczotki i zapakowany do przenośnej klatki. Miauczałem jak opętany, choć tak naprawdę to raczej dla hecy. Nic to jednak nie pomogło.

U weterynarza musieliśmy poczekać na swoją kolej. Przed nami w kolejce byli: senny basset, którego z przejedzenia bolał brzuch (ze swoją panią), jamnik przyprorowadzony do szczepienia przez wysokiego chłopaka oraz chomik trzymany przez kilkuletnią dziewczynkę – tego zaś bolały uszy. Towarzystwo więc raczej nieciekawe, choć chętnie zapoznałbym się bliżej z tym chomikiem. No, ale to było niemożliwe, bo przecież siedziałem w klatce.

Weterynarzem okazał się dość sympatyczny, gruby, łysy pan w okularach i zielonym fartuchu.

– A cóż my tu mamy?! – zakrzyknął wesoło, wyjmując mnie z klatki. – Kot europejski krótkowłosey!

– Myślałem, że to zwykły dachowiec! – zdziwił się tata Marcela.

– Jak zwał, tak zwał... – Weterynarz się roześmiał, głaszcząc mnie po grzbiecie. – W istocie chodzi dokładnie o to samo boskie stworzenie – po łacinie: *felis silvestris catus*. Samczyk, jakieś osiem do dziewięciu tygodni... Potem odezwał się do mnie: – Piękny brzuszek

sobie wyhodowałaś, kolego, a jakie masz lśniące futro!
No, pokaż się, tygrysie... Ale nie drap!

Dalej wypytywał moich opiekunów, co mi dolega.

– Chcieliśmy, panie doktorze, zaszczepić Cukierka, przyciąć pazury... – powiedział tata Marcela.

– I zbadać, czy jest zdrowy – dodał Marcel.

– No dobrze, dobrze, już dajemy Cukierkowi specjalny zastrzyk. – Weterynarz, zacierając ręce, podszedł do przeszklonej szafki, z której wyjął przeogromną strzykawkę z grubą igłą.

– Proszę go przytrzymać, szanowny panie. Trzymać, powiedziałem, trzymać! No, i jak ja teraz go stamtąd zdejmę?

Korzystając z chwili nieuwagi, wyrwałem się z rąk taty Marcela i wskoczyłem na szafę, z której doktor wyjął strzykawkę.

– Ma pan może szczotkę? – zapytał niepewnie tata Marcela, przyglądając się swoim zranionym rękom (chyba go drapnąłem, ale sam sobie winien).

– Słucham? – zapytał zdziwiony weterynarz.

– Szczotkę do zamiatania podłogi – powtórzył tata Marcela. – Ja go delikatnie popchnę na kraj szafki, a pan go złapie.

– A po co? – zapytał weterynarz. – Taki miły, grzeczny kotek nie sprawi nam kłopotu, prawda, Cukierku? Zaraz stanę na krześle i go ściągnę, a potem zrobimy zastrzyk. I wszyscy będą zadowoleni.



„Ja na pewno nie będę” – pomyślałem. Na szczęście udało mi się czmychnąć. Odbiłem się od łysej głowy pana doktora i przeskoczyłem na drugą szafkę. Przy okazji chyba go zadrapałem, no ale czy znacie kogoś, kto zachowałby równowagę, odbijając się od łysej głowy i nie musiał do tego używać pazurów? Ja nie znam.

– To ja pójdę może po tę szczotkę – mruknął weterynarz.

Szczotka wygrała i tym razem. Po chwili siedziałem już przyciśnięty do stołu rękami taty Marcela, a weterynarz wbił mi w skórę na grzbiecie strzykawkę ze szczepionką. Zapieкло i zabolalo, ale tata Marcela trzymał mnie mocno, więc nie miałem najmniejszej szansy, by zwiać. Potem weterynarz spryskał mi futro jakimś śmierdzącym preparatem przeciw pchłom, a do pyszeczka wcisnął jakąś ohydny maź – prawdopodobnie na te robaki. Na koniec specjalnymi nożyczkami przyciął moje pazury.

Przegrałem, ale tanio skóry nie sprzedałem – rękę taty Marcela przyozdobiły dwie nowe szramy, a weterynarza udało mi się capnąć zębami w przedramię.

Po tym wszystkim pan doktor dezynfekował rany taty Marcela oraz swoje i opuściliśmy gabinet. Następną wizyta za dwa tygodnie.

Koniecznienie muszę do tego czasu wymyślić, jak poradzić sobie z tą szczotką. I mam nadzieję, że pazury zdążą mi odrosnąć.

Zostałem bohaterem literackim!

Tego dnia po południu Marcel siedział z zasępio-
ną miną nad swoim zadaniem domowym. Najwyraź-
niej mu nie szło, bo co chwila wzdychał, gryzł ołówek
i spoglądał w sufit, jakby tam były zapisane odpowiedzi
na wszystkie trudne pytania.

– Witaj, młodzieńcze! – wesoło powiedział tata Mar-
cela, który właśnie wrócił z pracy. Wchodząc do poko-
ju, rzucił teczkę na kanapę, na której odsypiałem swoje
nocne zabawy.

– Co ma znaczyć ta kwaśna minka?

– Nie wiem, jak odrobić zadanie domowe – burknął
Marcel.

– A z czego to zadanie? – zaciekawił się tata Marcela.

– Z języka polskiego – odpowiedział Marcel i raz
jeszcze westchnął ciężko. – Mamy napisać wiersz na

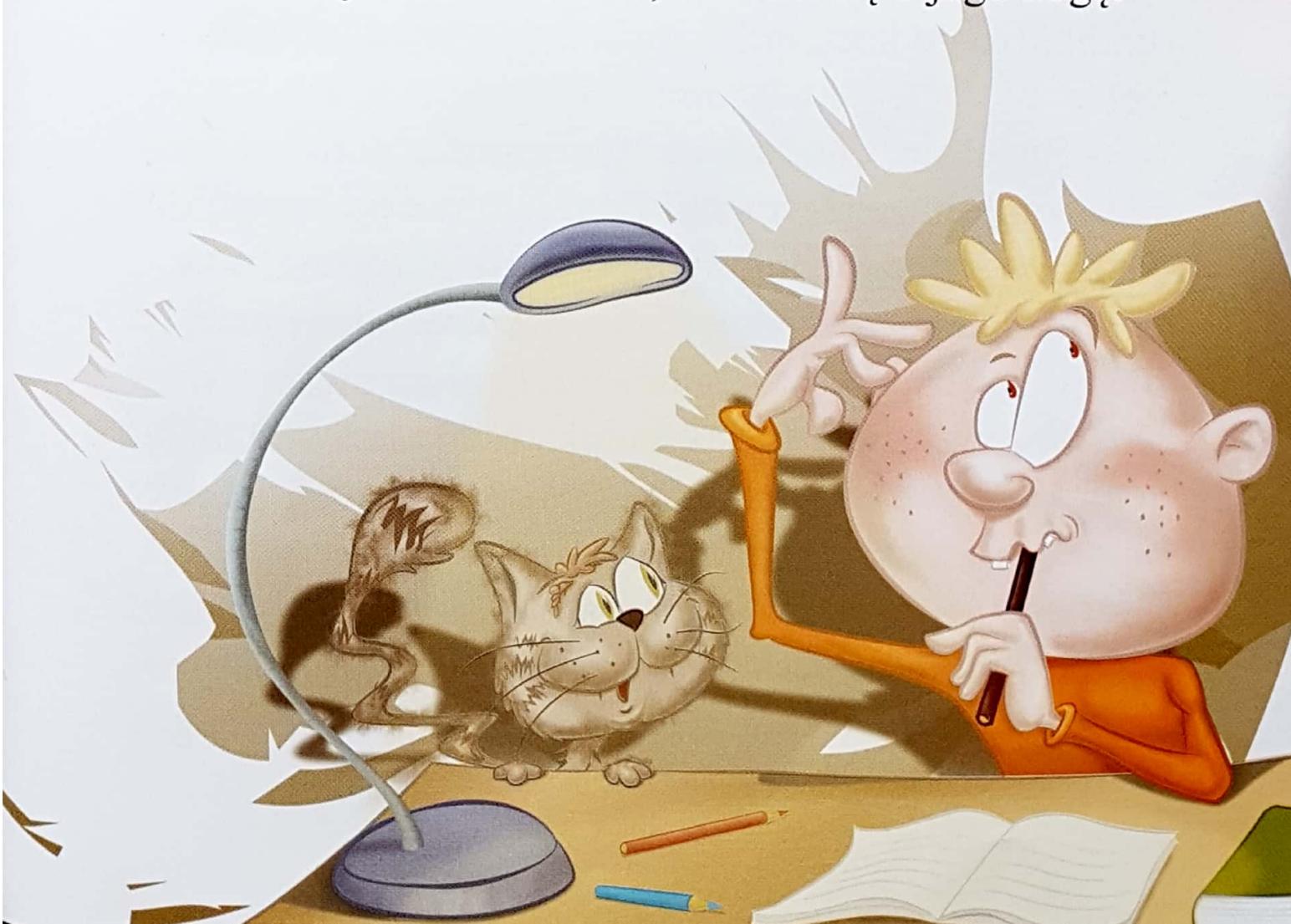
dowolny temat. Taki prawdziwy, żeby się rymowało, i w ogóle...

– I w czym tkwi problem? – zdziwił się tata Marcela.

– W tym, że ja nie umiem – wydusił chłopiec przez zaciśnięte zęby, i obrażony skrzyżował ręce.

– Umiesz, tylko jeszcze o tym nie wiesz – powiedział tata Marcela. – Pomogę ci. Najpierw wybierzemy temat wiersza. Zamknij oczy i postaraj się uruchomić wyobraźnię. Napiszemy o pierwszej rzeczy, jaka przyjdzie ci do głowy.

Marcel zamknął oczy i zaczął myśleć, a ja – skoro już się obudziłem – postanowiłem sprawdzić, czy przypadkiem nie ma czegoś pysznego w mojej misce. Przechodząc obok Marcela, otarłem się o jego nogę.



– Cukierek! – krzyknął chłopczyk. – Nie przeszkadzaj!

– Cukierek? – zdziwił się tata Marcela. – Słowo się rzekło, napiszemy wiersz o Cukierku.

Nastawiłem uszu znad miski. No bo, czyż to często się zdarza, że ktoś chce o was napisać wiersz?

– Wiersz o Cukierku? – zapytał uradowany Marcel.
– Ale o czym konkretnie napiszemy?

– Najlepiej o tym, jaki jest – powiedział tata Marcela. – Pomyśl, jak opisałbyś Cukierka komuś, kto go nie zna.

– No, jest pręgowany... i ma fajne wąsy, lubi spać, wygrzewać się przy kominku, uwielbia jeść, w nocy rozrabia, a w dzień śpi na kanapie albo w moim łóżku i... bardzo go kocham! – wyliczył jednym tchem Marcel.

– Świetnie, chociaż ja bym jeszcze dodał, że jest niezłym łobuzem – ocenił tata. – Teraz po prostu dobierzemy odpowiednie rymy.

Chciałem przysłuchiwać się, jak powstaje wiersz, bo byłem bardzo ciekawy, ale wślizgnąłem się z powrotem do koszyka. Ciepło kominka było obezwładniające, a kocyk – taki mięciutki... Nawet nie wiem, kiedy powieki same mi się zamknęły.

Kiedy się obudziłem, Marcel siedział przy stole i jadł kolację. Wskoczyłem mu na kolana, żeby zobaczyć, czy nie da się przypadkiem podkraść czegoś

smakowitego, ale na talerzu leżały kompletnie dla mnie niejadalne grzanki z dżemem.

– Cukierek! – ucieszył się Marcel. – Spałeś i spałeś, a ja nie mogłem się doczekać, kiedy się wreszcie obudzisz, żeby przeczytać ci mój wiersz o tobie! To znaczy nasz – mój i taty – wiersz o tobie. Chcesz posłuchać?

Pomyślałem, że wprawdzie wolałbym dostać coś z lodówki, ale nie chciałem robić Marcelowi przykrości, więc tylko miauknąłem zachęcająco.

Chłopiec posadził mnie na kanapie. Pobiegł do swojego pokoju, a po chwili wrócił z kartką papieru i zaczął czytać.

Wiersz był super, zresztą – sami posłuchajcie:

*Mój kot Cukierek ma długie wąsy,
Lubi pełną miskę i wieczorne płasy.
W nocy urządza wyścigi szalone,
Pogryzł rękawiczki mej mamy zielone.
Lubi wchodzić sobie do mojego łóżka,
Tam śpi najsmaczniej, gdzie miękka poduszka.
Ma ostre pazury, czasami mnie drapnie,
I szybko ucieka, by nie dostać kapciem.
Lubi przed kominkiem wygrzać sobie futro,
Nie martwi się wcale tym, co będzie jutro.
Chociaż sprawia nam czasem kłopotów masę,
To bardzo go kocham, bo zwierzak ma klasę.*



No, powiedzcie sami, czy można było to napisać lepiej?

Następnego dnia Marcel wrócił ze szkoły rozpromieniony. Wziął mnie na ręce – chociaż akurat spałem – wyściskał, podrzucił do góry i zawołał radośnie:

– Ech, Cukierku! Dostałem szóstkę za nasz wiersz o tobie, a pani powiedziała, że jest świetny i że mam go deklamować na konkursie recytatorskim, który odbędzie się w naszej szkole za tydzień. I jeszcze powiedziała, że jesteś tym, no... bohaterem... lirycz... niackim... Nie, że jesteś bohaterem literackim! Cieszysz się?

Co prawda, bardziej bym się ucieszył, gdybym dostał kawałek tego tuńczyka z lodówki, ale nie chciałem robić przykrości Marcelowi, więc tylko miauknąłem potwierdzająco.

Nadbagaż

Marcel gra w hokeja. Nie wiem dokładnie, na czym polega ta gra, ale fajne jest to, że ma dużą torbę, a w niej mnóstwo ciekawych rzeczy potrzebnych do tej zabawy: ochraniacze na nogi, ochraniacze na łokcie, rękawice, kask, specjalną kamizelkę, szelki, łyżwy, grubaśne spodenki... A najfajniejsze, że torba jest naprawdę ogromna i świetnie się po niej buszuje. Oczywiście, pod warunkiem, że ktoś jej nie zamknie. Wówczas można niepostrzeżenie wskoczyć do środka.

Treningi Marcela odbywają się przeważnie w soboty i w niedziele. Jeździ na nie razem ze swoim tatą. Wstają wtedy bardzo wcześnie – o siódmej rano – ale za każdym razem mówią, że wstali za późno. Wyobrażacie to sobie? Robią mnóstwo rabanu, dlatego zawsze się budzę. Szybko jedzą śniadanie, ubierają się, a potem

biegają po domu, pakując do tej torby różne rzeczy. Zazwyczaj o czymś zapominają i wtedy tata Marcela z obłędem w oczach wraca po jakiś ochraniacz albo coś innego, narzekając, że znowu się spóźnią i że w przyszłym tygodniu trzeba wstać wcześniej. I przez to ich wieczne zapominanie kiedyś niechcący... pojechałem na trening.

Nie wierzycie? To posłuchajcie.

Tej soboty Marcel i jego tata jak zwykle wstali za późno. Już zakładali buty, kiedy naraz tatę Marcela coś tknęło. Otworzył torbę, zajrzał do środka i pacnął się ręką w głowę.



– Zapomniałem o twoich getrach – powiedział do syna. – Wczoraj ich nie spakowałem, bo nie wyschły po praniu. Idź już do samochodu, a ja przyjdę za chwilę.

I pobiegł. Otwarta torba kusiała. Pokażcie mi kota, który nie skorzystałby z takiej okazji i nie wskoczył do środka! To musiałyby być jakiś dziwny kot.

Buszowałem sobie w najlepsze, kiedy naraz usłyszałem odgłos zasuwanego zamka błyskawicznego i poczułem, że torba podnosi się do góry. Po chwili rozległo się trzaśnięcie klapy bagażnika. Chciałem zamiauczeć, żeby dać znać, iż jestem w torbie, ale pyszczek zaplątał mi się w ręcznik, a sznurówka buta hokejowego łaskotała moje ucho. A gdy udało mi się już wyplątać i chciałem donośnie zamiauczeć, usłyszałem głos Marcela:



– Tata, superpiosenka. Daj głośniej!

Miauczałem jak opętany, ale muzyka mnie zagłuszała. Darłem się przez kilka minut, drapałem i miotałem po całej torbie, ale ani tata Marcela, ani Marcel mnie nie usłyszeli.

Z tego wszystkiego tak się zmęczyłem, że zasnąłem.

Obudził mnie odgłos rozsuwanego suwaka. Zaspany wyjrzałem na zewnątrz. Zobaczyłem, że jesteśmy w jakimś dużym pomieszczeniu, pełnym dzieci poubieranych w te wszystkie dziwne ochraniacze i kamizelki, i w łyżwach na nogach. Strzepnąłem z wąsów resztki snu i wyskoczyłem na zewnątrz.

– Kot, kot! – rozległy się krzyki dzieciaków. – Marcel, w twojej torbie na sprzęt był jakiś kot!

Oczywiście wszyscy od razu rzucili się na mnie i zaczęli głaskać. Miałem poważne obawy o swoje futro!

– To nie jakiś kot, tylko mój Cukierek! – Marcel się roześmiał, biorąc mnie na rękę. – Chciał pewnie zobaczyć, jak gram w hokeja i wybrał się na trening. Szkoda tylko, że nikomu o tym nie powiedział.

– Mieliśmy nadbagaż! – stwierdził tata Marcela. – To dlatego twoja torba ze sprzętem była dzisiaj taka ciężka!

Oczywiście tata żartował. Może i trochę ostatnio przytyłem, ale bez przesady!

A potem przyszedł jakiś pan, do którego Marcel mówił „trenerze”, popatrzył na mnie i na głaszczące mnie

dzieciaki, westchnął i oznajmił: „Koniec z tym zoo! Za trzy minuty chcę widzieć wszystkich na lodzie!”.

Usiadłem razem z tatą Marcela na trybunach i przyglądaliśmy się, jak Marcel i jego koledzy trenują tego hokeja. Robili przy tym dużo zamieszania, bo – dzieciaki jeździły na łyżwach, uderzały kijami w małe, okrągłe, płaskie krążki i pokrzykiwały. Było całkiem fajnie, tylko strasznie zimno. Co prawda tata Marcela wsadził



mnie za pazuchę swojej puchowej kurtki, ale żeby coś widzieć, musiałem wystawić głowę na zewnątrz. Po pewnym czasie zacząłem się wiercić, bo zrobiło mi się trochę niewygodnie, a tata Marcela podrapał mnie za uchem i ze śmiechem mi pogroził:

– Cukier, siedź spokojnie, bo wsadzę cię z powrotem do torby.

Myślę, że znowu żartował, ale na wszelki wypadek siedziałem bez ruchu aż do końca treningu.

Kiedy wróciliśmy do domu, przez jakiś czas szerokim łukiem omijałem torbę ze sprzętem do hokeja.

Sweterek z angory

– Popatrzcie, co kupiłam! – zawołała mama Marcela, wpadając do domu jak burza. – Jest po prostu prześliczny!

Podniosłem głowę, wstałem z koszyka i podbiegłem do mamy Marcela z wyprężonym jak struna ogonem. Po pierwsze, byłem naprawdę ciekawy (pokażcie mi kota, który nie jest ciekawy!), cóż to takiego wspaniałego sprawiła sobie mama Marcela, a po drugie, wiecie sami – kiedy ocieram się o jej nogi, to najczęściej się rozczula i mówi do mnie: „Moje, moje piękne koteczki”, głaszcze mnie po grzbiecie i daje coś smakowitego z lodówki. A wśród wczorajszych zakupów zauważyłem wędzone sardynki – gra była więc warta świeczki!

Tym razem jednak mama Marcela w ogóle nie zwracała na mnie uwagi!



– W tym nowym sklepie naprzeciwko mojej pracy była akurat wyprzedaż – powiedziała podekscytowana, ściągając płaszczyk i rzucając go na krzesło. – Wstąpiłam tylko tak, z ciekawości. I patrzcie, co znalazłam!

Mama Marcela zagadkowo zawiesiła głos i wyciągnęła z siatki fioletowo-granatowy sweter. Rozwinęła go i pokazała Marcelowi i jego tacie. No, i oczywiście mnie.

– To prawdziwa angora – pochwaliła się, przyciskając sweter brodą do piersi. – Zobaczcie, jaka mięciutka i ciepła. I taka okazja! – za jedną trzecią ceny, bo to ostatni egzemplarz w nietypowym rozmiarze. Leży na mnie jak ulał. Zaraz przymierzę, a wy ocenicie czy dobrze w nim wyglądam.

I pobiegła z nowym nabytkiem do łazienki.

Kiedy obudziłem się następnego dnia, było już po dziesiątej i w domu nie było nikogo. Opróżniłem zawartość miski i podczas porannej toalety – jak zwykle długiej i starannej – zacząłem zastanawiać się, czym by tu wypełnić czas?

Pobawiłem się przez chwilę moją gumową myszą, ale samemu to żadna frajda. Wolę, kiedy bawi się ze mną Marcel.

Nuda...

W końcu poszedłem do sypialni. Poszwendąłem się po pokoju w nadziei, że uda mi się znaleźć coś do roboty. Wskoczyłem na szafkę... I wiecie, co ujrzałem?



Nowy sweter mamy Marcela!

Pacnąłem łapą, a on zsunął się z szafki na podłogę. Ułożył się tak jakoś dziwnie, że przybrał postać groźnego potwora... Naprawdę! Tajemnicze wzory na swetrze przypominały oczy, długie rękawy były jak łapska gotowe mnie schwytać. Tylko nóg ten potwór nie miał – to dobrze, bo nie mógł mi uciec!

Zjeżyłem grzbiet, zasyczałem, podreptałem w miejscu i skoczyłem.

„Ja ci pokażę! A masz!” – Ugryzłem lewy rękaw i odskoczyłem na bok, żeby przyjąć pozycję do kolejnego ataku.

Pac, pac, pac! – moje łapy atakowały sweter, który tak jakoś dziwnie się zamotał, że jedna z łap utknęła w fioletowo-granatowej otchłani.

– Ratunku! – miauknąłem. Wyplątałem się po chwili i dałem drapak, ale zaraz wróciłem, by pacnąć i ugryźć jeszcze raz. Żaden swetrowy potwór mnie nie pokona!



Walka trwała kilka minut, aż w końcu uznałem, że poskromiłem przeciwnika. Powlokłem nieprzytomnego wroga do koszyka. Już nie wydawał się taki groźny, ba – teraz był milutki, mięciutki i ciepłutki! Położyłem się na nim na chwilę i ogarnęła mnie błogość...

Obudził mnie czyjś krzyk.

Otworzyłem leniwie jedno oko i spojrzałem do góry. Nade mną stała rozgniewana mama Marcela. Odsunęła mnie na bok, by wyjąć sweterek z koszyka. Na widok dziur krzyknęła raz jeszcze, złapała leżącą obok ścierkę i pacnęła mnie nią w pupę. Prychnąłem, podskoczyłem i uciekłem pod komodę.

– Mój nowy, piękny sweterek! – zawołała mama z rozpaczą, przyglądając się dziurom.

Na wszelki wypadek postanowiłem nie wyłazić spod komody. Odważyłem się wyjść dopiero wieczorem, kiedy to głód okazał się silniejszy niż obawa przed oberwaniem ścierką.

Tata Marcela złapał mnie za grzbiet i podniósł.

– Cukier, ja ci dobrze radzę – szepnął do mnie, oglądając się niepewnie za siebie – ty się teraz gdzieś zamelinuj. Zniknij, stań się niewidzialny, przefarbuj sobie futro, zmień tożsamość, wyjedź do rodziny. Wiem z doświadczenia, że złość jej przejdzie, ale musisz przecze-kać. No, i na jakiś czas powinienes zapomnieć o smakołykach, którymi cię pani faszeruje. Jednym słowem, masz, chłopie, przechlapane.

Posmutniałem...

Nazajutrz okazało się, że mama Marcela oddała sweterek do naprawy. Wszystkie dziury dało się zaszyć i prawie nie było śladu szkód, oprócz jednego krzywego ściegu na lewym łokciu. A kiedy wieczorem przygotowała mi trochę świeżej drobiowej wątróbki, wiedziałem, że już się nie gniewa.

Jutro otrę się o jej nogi i na pewno usłyszę: „Moje, moje piękne koteczki”. I znowu będę jej ukochanym kociakiem.





Choinka

W zamku drzwi wejściowych zazgrzytał klucz, więc szybko pobiegłem na schody, żeby zobaczyć, kto idzie (przy okazji chciałem sprawdzić, czy uda mi się czmychnąć do ogródka). Przyczałem się za szafką na buty, gotowy przemknąć między nogami wchodzącego, kiedy drzwi się otworzyły i... zbaraniałem, jeśli oczywiście kot może zbaranieć.

Wiecie, kto wszedł?

Choinka. Najprawdziwsza!

Taka sama jak ta, która stoi przed domem i pod którą zawsze się chowam, kiedy tata Marcela i Marcel gonią mnie po ogródku, usiłując zagnać do środka.

Za choinką pojawili się właśnie oni i okazało się, że choinka nie chodzi sama, tylko niesie ją w ręce tata Marcela, a Marcel mu pomaga. Sapiąc jak buldog

z naprzeciwka, wnieśli drzewko do dużego pokoju. Postawili je w kącie i zaczęli przyglądać mu się z takim zadowoleniem, jakby to był kawałek świeżego łososia albo co najmniej duża puszka z tuńczykiem... Ja też usiadłem na środku pokoju i patrzyłem z zainteresowaniem. Co oni z nim będą robić?

– Jaka śliczna choinka! – zachwyciła się mama Marcela, wchodząc do pokoju. – Ubierzecie ją zaraz, chłopaki? Wigilia za kilka godzin, a ja mam jeszcze mnóstwo pracy w kuchni.

– Jasne, że ubierzemy! – krzyknął Marcel, biorąc mnie na ręce i przytulając twarz do mojego pyszczka. – Cukierek nam pomoże!

– Znając możliwości Cukierka, uważam, że to akurat nie jest najlepszy pomysł – mruknął tata Marcela, patrząc na mnie znacząco.

– Cukierek będzie grzecznym kotem i nie narozrabia, prawda? – zapytała przymilnie mama Marcela, głaszcząc mnie po grzbiecie. – Zresztą w kuchni przeszkadzałby mi bardziej, bo mam zamiar zaraz smażyć karpia, a wiecie, co mogłoby z tego wyniknąć?

Tata Marcela mruknął coś niezrozumiałego pod nosem i poszedł na poddasze. Wrócił po chwili z ogromnym kartonowym pudłem, otworzył je i znowu poszedł na strych. Oczywiście od razu wlałem do środka pudełka. Czego tam nie było! Kable, żaróweczki, różnokolorowe szklane bańki, figurki aniołków,



gwiazdy, a wszystko błyszczało, świeciło i szeleściło. Raj dla kota... Wyciągnąłem coś długiego szeleszczącego z papieru na podłogę i zacząłem się tym bawić.

– Cukierek, zostaw to, ty paskudo! – krzyknął tata Marcela, który wszedł do pokoju, niosąc kolejne pudło. – A psik!

Na wszelki wypadek (tata Marcela zrobił ostatnio spore postępy w rzucaniu kapciem do celu) odskoczyłem i wczołgałem się pod komodę. Przychodzi mi to z coraz większym trudem. Mam wrażenie, że odległość między spodem komody a podłogą stale się zmniejsza. No, ale udało się.

Tata Marcela postawił pudło i znowu wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił z drabiną. Rozłożył ją, wyjął



z pudła sznurki z żaróweczkami i zaczął zawieszać je na drzewku. Choinka rozbłysła mnóstwem światełek. Z wrażenia wylazłem spod komody, przyglądając się temu widowisku z rozdziawioną mordką. Moją uwagę przykuło to, co wcześniej wystawało z pudła. Złapałem to za jeden koniec i zataszczyłem pod komodę. Tam nikt mi nie będzie przeszkadzał.

Tata Marcela zaczął wyciągać z pudeł kolorowe kulki i wieszać je na choince. Kilka powiesił na najniższych gałązkach. Kulki kołysały się zachęcająco, więc wyskoczyłem spod komody, podbiegłem do choinki i pacnąłem łapą największą, złotą. Spadła i z głośnym brzękiem rozbiła się w drobny mak. Podskoczyłem jak oparzony.





– Cukrzyca, ty łobuzie! – Tata Marcela zawsze do mnie mówi „Cukrzyca”, kiedy jest na mnie zły. – Zostaw te bombki!

Wykonałem odwrót pod komodę. Z bezpiecznej kryjówki przyglądałem się, jak tata Marcela zmiata jej resztki.

– Marcel, teraz podaj mi łańcuch – powiedział, wchodząc na drabinę.

– A gdzie jest? – zapytał chłopiec.

– No przecież leży na podłodze – rzucił zirytowany tata Marcela.

– Nie ma go na podłodze – odpowiedział Marcel, rozglądając się po pokoju.

– Jak to? – zezłościł się, złażąc z drabiny. – Przecież przed chwilą tu leżał...

Choinka była już prawie ubrana, kiedy tata Marcela wyjął z pudełka pięknie błyszczącą, złotą gwiazdę i powiesił ją na samym czubku drzewka. Poczekalem, aż obaj wyjdą z pokoju, żeby odnieść puste pudła na strych, i wylazłem spod komody. Gwiazda była taka ładna, że postanowiłem przyjrzeć jej się z bliska. Wskoczyłem na krzesło, następnie na komodę, a z komody na drabinę. Stamtąd było już blisko – najmocniej jak umiałem odbiłem się od ostatniego szczebla, skoczyłem i... niemal mi się udało.

A potem tata Marcela i Marcel zamknęli mnie w łazience i pojechali po nową choinkę i nowe bombki. I wiecie co? Nowa choinka była jeszcze piękniejsza od poprzedniej!



Pan kotek był chory

Oczywiście znowu wszystko było na mnie!

– Cukierek! – powiedział surowym tonem tata Marcela, odpychając mnie lekko nogą (bo ręce miał zajęte pakunkami). Akurat wszedł do kuchni, a ja postanowiłem połasić się do niego w nadziei na jakiś smaczny kąsek. – Tyle razy ci mówiłem, żebyś się nie pałętał, bo cię w końcu...

Nie dokończył, bo potknął się o mnie i chcąc złapać równowagę, przydepnął mi ogon.

Wrzasnąłem i wyskoczyłem w powietrze jak fryga, rozcapierzyłem pazury, a kiedy tata Marcela uwolnił mój ogon, odskoczyłem w bok. Ból był okropny!

– O rany, Cukierek! – jęknął przestraszony tata Marcela, biorąc mnie na ręce. – Nic ci się nie stało?



Miaaaau...

Wyrwałem mu się z rąk i uciekłem za komodę. Ból co prawda już powoli mijał, ale postanowiłem pokazać tacie Marcela, że jestem na niego śmiertelnie obrażony, i dla hecy zacząłem udawać, że nadal mnie boli. Miauknąłem przejmująco.

Po chwili pomiędzy komodą a podłogą pokazała się jego zaniepokojona twarz.

– Cukierek, wyłaź, zobaczę, czy ci nic nie jest – odezwał się tata Marcela.

Prychnąłem i zasyczałem. Kuląc pod siebie ogon, przykleiłem się do ściany.

– Nie wygłupiaj się, stary – rzekł pojednawczym tonem, próbując mnie dosięgnąć ręką.

– A ty czego tam znowu szukasz? – Usłyszałem głos mamy Marcela.

Chyba właśnie wróciła razem z Marcelem z zakupów.

– Kota niechcący przydepnąłem – wyjaśnił wyraźnie zmieszany i trochę zawstydzony tata Marcela. – Ogon, ściślej rzecz ujmując. I teraz Cukierek siedzi pod komodą i nie chce wyleźć!

Potwierdzająco miauknąłem. Zabrzmiało to trochę dramatycznie.

– Cukierek, kici, kici, kici! – zawołał do mnie przestraszony Marcel. – Bądź grzecznym kotem, wyjdź stamtąd.

Miauknąłem rozdzierająco.

– Matko jedyna, a jak mu coś złamałem? – zdławionym głosem powiedział tata Marcela.

Miauknąłem ponownie, używając Specjalnego Kocięgo Żałosnego Miauknięcia Numer 5.

– No i co, żyje? – zapytała mama Marcela.

– A skąd mam wiedzieć – krzyknął wyraźnie zrozpaczony tata Marcela – jak od razu uciekł pod komodę i nie chce stamtąd wyleźć!

Teraz była kolej na Dramatyczne Kocie Żałosne Miauknięcie Numer 8.

– Widzisz! – zawołał tata Marcela. – Miauczy! Boli go! Co ja narobiłem!!!



– Cukierek, chodź do pańci – powiedziała pieszczotliwie mama Marcela.

Prychnąłem i zasyczałem. Ja tu umieram, a jej się na czułości zebrało!

– Mamo, ja się boję – głos Marcela stał się płaczliwy. Serce mi się krajało, ale postanowiłem, że będę twardy i nie wyjdę.

– Poczekaj chwilę – powiedziała mama Marcela. – Myślę, że wiem, co pomoże nam postawić diagnozę.

Po chwili pod komodą pokazała się... ryba. Pachniała tak niesamowicie przyjemnie, że w mig zapomniałem o udawaniu. Wybiegłem z wyprężonym ogonem i zacząłem łasić się do nogi mamy Marcela.

– Wygląda na to, że już wszystko w porządku. – Marcel się roześmiał, głaszcząc mnie po grzbiecie.

Tata Marcela przez dłuższy czas patrzył na mnie dziwnym wzrokiem.

– Ależ skąd, kochanie – powiedział w końcu powoli, uśmiechając się przy tym mściwie. – Myślę, że bez wizyty u weterynarza się nie obejdzie...

Zastrzygłem z niepokojem uszami.

– Prześwietlenie trzeba będzie zrobić, a i zastrzyk przeciwzapalny zapewne będzie potrzebny – ciągnął niezrażony tata Marcela, patrząc na mnie przymrużonymi oczami. – Lepiej dmuchać na zimne. Jakoś odżałujemy te pieniądze, w końcu zdrowie Cukierka jest najważniejsze...



Udając, że sprawa w ogóle mnie nie dotyczy, wycofałem się do sąsiedniego pokoju i skryłem pod łóżkiem. Pomyślałem, że w razie potrzeby czmychnę na strych...

– A najgorzej, jak się okaże, że ogon jest zwichnięty albo złamany! – krzyczał tata Marcela w stronę mojej kryjówki. – Oj, wtedy to będzie problem. Do gipsu... na kilka tygodni...

Teraz byłem już naprawdę zaniepokojony.

– A to oznacza, że przez parę tygodni Cukierek nie będzie wychodził z domu – dodał tata Marcela.

Co?

– A! I dieta specjalna będzie potrzebna – kontynuował z wyraźnym zadowoleniem tata Marcela.

Słucham???

– Jak to było tym wierszu Stanisława Jachowicza o chorym koteczku? A, już wiem, słuchaj, Cukierek: „I nic jeść nie będziesz, kleiczek i basta, broń Boże kiełbaski, słoninki lub ciasta...”.

Miauknąłem i wychylając się spod łóżka, przerażony spojrzałem na mamę Marcela. Jak im wytłumaczyć, że jestem zdrow jak ryba?

– Daj już spokój, nie strasz go! – Mama Marcela się roześmiała, biorąc mnie na ręce. – Bo jeszcze z tego wszystkiego Cukierek rozchoruje się na nerwy.

Urodziny Marcela

Dziś Marcel obchodził urodziny.

Przyszli kuzynostwo oraz mnóstwo koleżanek i kolegów z klasy, podwórka i drużyny hokejowej – w sumie tuzin dzieciaków! Na początku Marcel chciał zaprosić całą klasę i całą drużynę, ale rodzice zgodzili się tylko na dwanaścioro gości. Solenizant był z tego powodu trochę naburmuszony, ale dał się udobruchać. I dobrze, bo strach pomyśleć, co działałoby się, gdyby gości było więcej.

Posłuchajcie...

Towarzystwo zaczęło się schodzić wczesnym popołudniem. Każdy oczywiście musiał mnie pogłaskać i wziąć na ręce, czego szybko miałem serdecznie dość – schowałem się zatem pod komodą. Nic to nie dało, bo ci koledzy, którzy przyszli pierwsi, powiedzieli tym,

którzy przyszli później, że Marcel ma fajnego kota. Oczywiście każdy chciał mnie zobaczyć i Marcel raz za razem wyciągał mnie spod komody i pokazywał kolegom. Wszyscy znowu mnie głaskali, brali na ręce i przytulali. Oczywiście mieli w nosie to, że ja akurat nie mam najmniejszej ochoty na pieszczoty...

Kryjówka pod komodą była spalona, skryłem się więc za szafą. Myślę, że spokojnie doczekałbym tam końca imprezy, gdyby nie moja kocia natura... no i prezenty, które goście przynieśli Marcelowi. Znacie takie powiedzenie „ciekawość zgubiła kota”?

Podarunki stały w kącie pokoju, opakowane w błyszczące papiery i obwiązane kolorowymi wstążkami. Cudownymi wstążkami! Hipnotyzowały, wabiły, nęciły, wołały do zabawy. Pokażcie mi kota, który nie poddałby się ich urokowi...

Wylazłem z za szafy i po chwili byłem w kocim raju. Skok, szarpnięcie, pacnięcie łapą, lekkie przyczajenie się i... atak, atak, atak!

Akurat szarpałem złotą wstążeczkę z największego pudła, co nie było łatwe, bo zawiązano ją naprawdę porządnie, gdy zauważyła mnie dziewczynka, która przyszła jako ostatnia. Pisnęła z zachwyty, podniosła mnie i ścisnęła tak, że oczy o mało nie wyszły mi z orbit. Przez dłuższą chwilę przytulała mnie mocno – za mocno – do siebie, a następnie zaczęła głaskać i drapać za uszami.





Potem mama Marcela przyniosła tort z zapalonymi świeczkami. To było szalenie interesujące, ale kiedy Marcel zdmuchnął świece, wszyscy zaczęli bić brawo, krzyczeć i piszczeć, aż mnie rozboleły uszy. To było gorsze niż ten harmider, jaki przeżyłem w noc sylwestrową, kiedy wszędzie wokoło rozlegały się odgłosy fajerwerków. Wiecie, ile hałasu może wydać z siebie gromadka dzieciaków?

Najgorsze miało jednak dopiero nadejść.

Po spałaszowaniu tortu Marcel zaczął rozpakowywać prezenty. Wylazłem z za szafy, bo rzucone na podłogę opakowania z prezentów znów zaszeleściły hipnotyzująco. To było silniejsze ode mnie...

Dwie koleżanki Marcela, trajkocząc jak małe katarzynki, zaczęły mnie głaskać, czesać grzebieniem i ubierać w jakieś dziwne rzeczy! To było oburzające! Po chwili miałem zawiązaną pod mordką wielką różową



kokardę, przypięte dwie spinki na ogonie, a w moich oczach pojawił się obłęd. Czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę z tego, jak kot wygląda w różowym?

Ze wstydu uciekłem pod komodę. Trwało dłuższą chwilę, nim pozbyłem się wszystkiego, czym mnie obwiązali. Byłem tak wściekły, że ze złości jedną ze wstążek porwałem na małe kawałeczki. To przez te okropne prezenty bez przerwy mnie łapią i męczą!

Tym razem spod komody wyciągnęli mnie koledzy Marcela. Okazało się, że jednym z podarunków była ogromna, sterowana radiowo ciężarówka-wywrotka. Chcieli ją od razu wypróbować i uznali, że świetnie będzie nadawał się na pasażera pierwszego kursu. Wsadzili mnie do pojazdu, zamknęli klapę, żebym nie uciekł... i wbrew swojej woli ruszyłem w drogę.

Na szczęście na zakręcie wywrotka przewróciła się i zdołałem czmychnąć. Skryłem się w sypialni

rodziców Marcela. Postanowiłem, że nie wychylę spod kołdry nawet czubka nosa, choćby nie wiem jak szeleściły i nęciły mnie wszystkie wstążki świata!

Chciało mi się spać, ale na wszelki wypadek nie zmrużyłem oka. A nuż znowu mnie ktoś dopadnie?

Zresztą i tak było za głośno na spanie. Kiedy zrobiło się późno i wszyscy goście poszli, byłem wykończony. Ciągnąc ogon po ziemi, powolutku powlokłem się w stronę swojego koszyka. Na leżące na podłodze wstążki nawet nie spojrzałem.

– Mamo, było super! – zawołał Marcel, biorąc mnie na rękę. – Wszystkim bardzo się podobało, a najbardziej podobał się Cukierek. Czy w przyszłym tygodniu też mogę zaprosić kolegów do siebie?

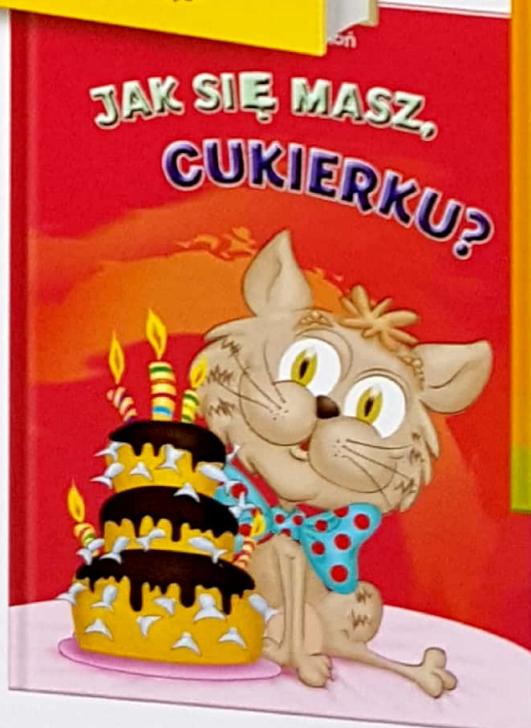
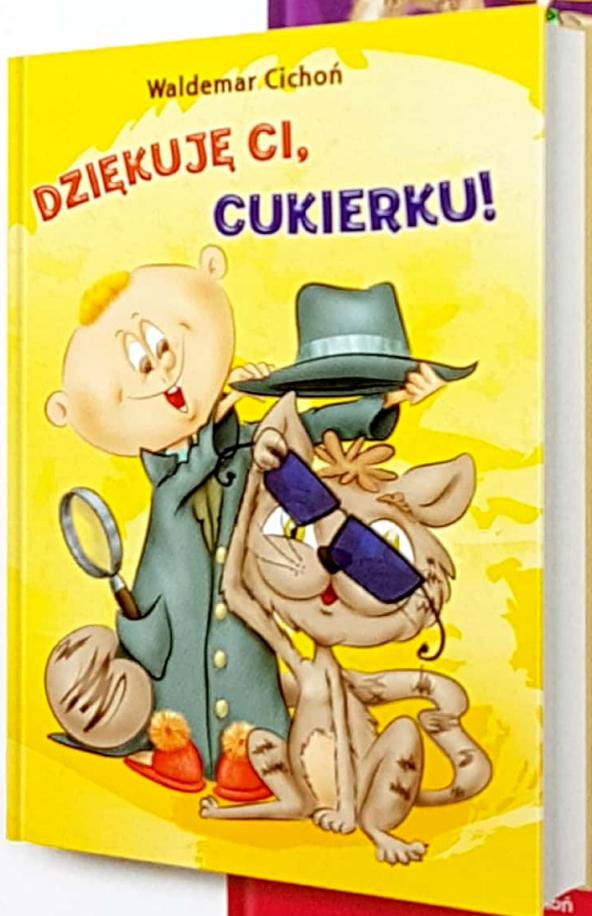
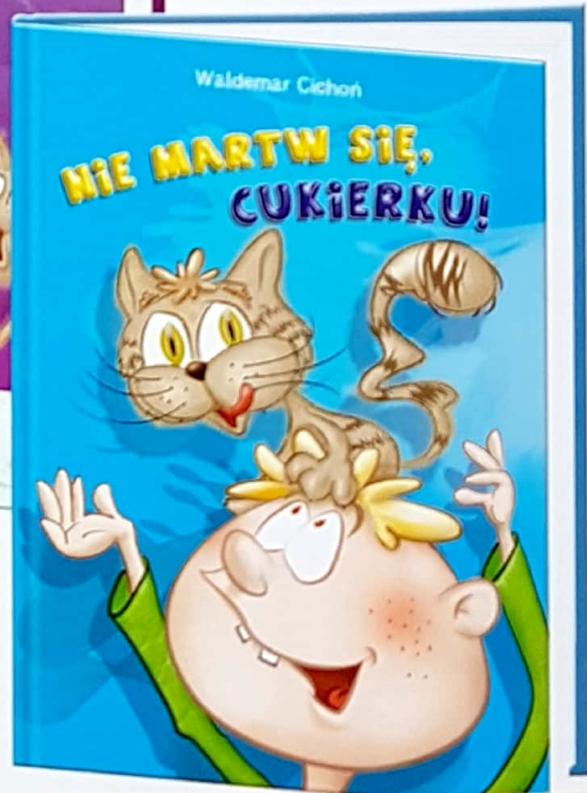
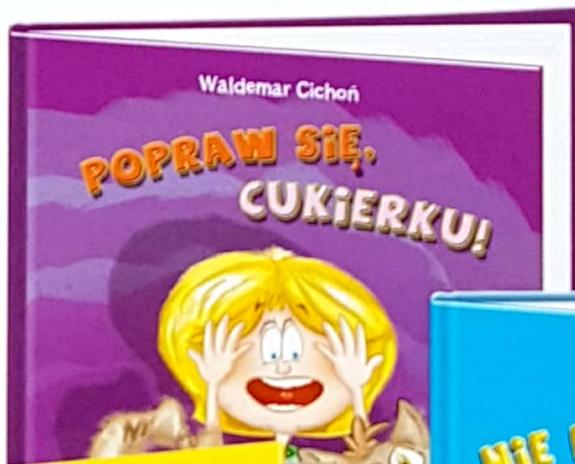
Mama Marcela spojrzała na mnie i roześmiała się głośno.

– Obawiam się, że kolejnej imprezy Cukierek mógłby nie znieść – powiedziała, a ja tylko potwierdzająco przymknąłem oczy, bo nie miałem nawet siły, żeby miauknąć.

Zostałem pokonany!

Spis treści

Przeprowadzka	7
Wielka ucieczka	12
Jak poradzić sobie ze szczotką	18
Zostałem bohaterem literackim!	24
Nadbagaż	30
Sweterek z angory	36
Choinka	43
Pan kotek był chory	50
Urodziny Marcela	57









Czy mały pręgowany kotek może wywrócić czyjeś życie do góry nogami? Tak, jeśli tym kotem jest Cukierek! Nie dajcie się zwieść imieniu. To słodkie futrzane utrapienie ceni sobie swobodę i dobrą zabawę. A od kiedy stał się równoprawnym członkiem rodziny Marcela, na światło dzienne wyszły jego kolejne kocie talenty! Jakie? Najlepiej, jak Cukierek sam Wam o wszystkim opowie...

„Cukierku, ty łobuzie”
- to stuprocentowa kocia
komedia! - polecam, Lidia Miś.


czasdzieci.pl
Portal informacyjno-rozrywkowy



Pierwsze Radio Dzieci

**BABY
RADIO.pl**

ISBN 978-83-932877-8-9



9 788393 287789 >

